O całkowity katolicyzm.

I.

Uderzyło mię następujące zdanie Chestertona: „Istnieje pewne prawo, zapisane w najciemniejszej Księdze Życia, a mianowicie: możesz oglądać jakąś rzecz 999 razy i nic ci nie zamąci spokoju; a kiedy spojrzysz na nią po raz tysiączny, grozi ci straszliwe niebezpieczeństwo, że zobaczysz ją po raz pierwszy“ (Napoleon z Notting Hill).

Coś podobnego zdarzyło się ze mną, gdy przed kilku dniami czytałem — nie wiadomo po raz który — słowa z pierwszego listu św. Pawła do Koryntjan: „Postanowiłem sobie nic innego nie umieć między wami, jedno Jezusa Chrystusa i to ukrzyżowanego“. (2, 2.)... Drgnąłem cały, jak nigdy podczas codziennej lektury Pisma św. Zdarzyło się widać owe „straszliwe niebezpieczeństwo“, żem po raz pierwszy wniknął głębiej w prawdziwe znaczenie tych słów natchnionych... I od tego czasu nie mam spokoju: dręczy mnie (ale jest to udręka przebłogosławiona!) bez przerwy myśl, czy życie moje, nauka i prace moje są umiejętnością o Chrystusie?... W codziennych modlitwach, rozmyślaniach, podczas wieczornego rachunku sumienia, słyszę coraz bardziej natarczywy głos sumienia: Co już zrobiłeś, co zamierzasz w przyszłości uczynić, by pokazać światu, jak należy, „nic innego nie umieć, jedno Jezusa Chrystusa“?

Któż nie zaznaje podobnych uniesień? Miejmy się jednak na baczności, by nie paść ofiarą marzeń religijnych. Bo jakże można żyć w świecie, zarabiać na życie, spełniać obowiązki i czynności czysto materjalne, i równocześnie dążyć do tego, by

„nic innego nie umieć, jedno Jezusa Chrystusa“? Życie religijne nie powinno przecież przeszkadzać życiu cielesnemu!

Na tego rodzaju wątpliwości jasną odpowiedź daje pytanie św. Pawła Apostoła: „Nie wiecie, iż ciała wasze są członkami Chrystusowemi“ (I Cor. 6, 15.)? — co tyle oznacza według teologów, że w stanie łaski Bożej jesteśmy organicznie złączeni z Chrystusem, co zresztą św. Jan wyraża zupełnie wyraźnie, pisząc: „Jam jest szczep winny, wyście latorośle“ (Jan 15, 5). A zatem, jeżeli jesteśmy członkami Ciała Chrystusowego, wszystko, cokolwiek w stanie łaski uświęcającej czynimy, jest pracą dla Chrystusa i pomnażaniem Jego chwały oraz wzmacnianiem Jego królestwa. By „wiele owocu przynosić“ (Jan 15, 5.) pod względem nadprzyrodzonym, nie trzeba się ani cały dzień modlić, ni ustawicznie pościć, lub jałmużny dawać, albo w kościołach na nabożeństwach wysiadywać, lecz wystarcza wykonywać swą codzienną szarą pracę, i nie zaniedbywać wspomnianych świętych czynności wtenczas, gdy są one naszym ścisłym obowiązkiem religijnym, lub nakazem miłości Boga i bliźniego.

Czy nie wstydzimy się w skrytości ducha, że faszyzm, hitleryzm, bolszewizm są dziś potężnemi ideami twórczemi, a my, katolicy, będąc przez łaskę w ścisłej łączności z Bogiem - Człowiekiem, okazujemy w życiu niezaradność, brak inicjatywy, skłonność do kompromisu w sprawach zasadniczych, jałowość ducha i ospałość. . Jak gdyby Bóg, z którym jesteśmy przez łaskę organicznie zjednoczeni, był jakąś istotą beznadziejną, a nie Czynem! Stworzył nas przecież na Swe podobieństwo, i życie nasze powinno być objawieniem przymiotów tego boskiego podobieństwa!

Gmatwamy się w myślach... umysł nasz jest bezradny wobec natarczywego pytania: Co czynić, by życie łaski w miljonach dusz zamieniło się na potęgę ducha, któraby rozmachem działania przyćmiła krzykliwe i ponętne hasła bolszewizmu, hitleryzmu, i równocześnie olśniła świat blaskiem, mocą i świętością prac apostolskich, wykonywanych przez ludzi łaską Bożą karmionych. Nie można wątpić w prawdziwość słów Zbawiciela: „Kto wierzy (w Chrystusa), uczynki, które On czyni i on czynić będzie, i większe nad te czynić będzie“ (Jan 14, 12.). Jakaż mała i słaba musi być nasza wiara, jakaż powierzchowna i znikoma nasza organiczna łączność z Chrystusem w łasce uświęcającej, jak pozorne

nasze życie nadprzyrodzone, jeżeli setki tysięcy dusz pobożnych nie promieniują treścią Bożą i ani w przybliżeniu nie czynią uczynków, któreby świadczyły o ich bliskiem pokrewieństwie z Bogiem wiecznie stwarzającym! W naszem życiu łaski muszą istnieć bardzo wielkie niedomagania, skoro uczynki nasze są słabościami ciała, a nie żarem i ogniem Ducha Świętego, który jest dawcą łaski!

Co czynić?! W piersiach czuć wprawdzie gorętsze porywy serca, w umyśle kojarzą się „piękne" myśli, ale wszystko, co zdołamy wymyśleć, jest tylko stwierdzeniem braku, ubóstwa, nędzy; jest wzmożonem zaniepokojeniem i zniecierpliwieniem, kiedyż nareszcie zacznie świat „nic innego nie umieć, jedno Jezusa Chrystusa"?

Tyle dziś słyszy się i czyta o „całkowitem" państwie, narodzie... Zacznijmy mówić, pisać, w czyn wprowadzać całkowite chrześcijaństwo! Jeżeli chodzi o sformułowanie programu— na papierze, całkowity katolicyzm wymaga trzech rzeczy: 1). stanu łaski Bożej, 2). zgodnego działania z sumieniem i 3). wychowywania sumienia według wskazówek nieomylnego w rzeczach wiary i obyczajów Kościoła katolickiego.

Przypatrzmy się tym trzem warunkom w praktyce życiowej.

Ks. Dr. F. Machay.

AKCJA KATOLICKA W STANACH ZJEDNOCZONYCH.

Kronika Akcji katolickiej winna zapisać z zadowoleniem rozwój, jaki od pewnego czasu przybrał ten ruch w Stanach Zjednoczonych. W kraju tym, donosi *Osservatore Romano*, Akcja katolicka istniała już dawniej, świadczy o tem istnienie tam już od dziesięciu lat Narodowego Związku katolickiego, (National Catholic Welfare Conference), narodowego centrum najdonioślejszej działalności katolików północno-amerykańskich. Jednakże Akcja katolicka w znaczeniu jakie jej nadał Ojciec św., rozpoczyna się dopiero obecnie. Narodowy Związek katolicki zmienił w ostatnich czasach nazwę swego „Biuletynu" na „Akcja katolicka"; Akcja ta rozwija się w tamtejszych diecezjach w pełnem znaczeniu współpracy osób świeckich z apostolstwem hierarchji. W ubiegłym miesiącu nastąpiło wyjaśnienie jej zadań oraz koordynacja sił w dziedzinie Akcji katolickiej. Działalność ta przejawiła się na kongresie „Dobroczynności katolickiej" w Nowym-Yorku

i na kongresie Pań Katolickich w San Paolo i Chicago. W kongresach tych wziął udział Mons. Amleto Cicognani, delegat apostolski.

Z okazji kongresu narodowego „Dobroczynności katolickiej” wygłosił piękne przemówienie prezydent Stanów Zjednoczonych.

8 października odbył się narodowy kongres kobiet katolickich w San Paolo koło Minnesota. W zgromadzeniach wzięło udział około dwóch tysięcy delegatek oddziałów, pozatem przybyli liczni biskupi, burmistrz miasta i gubernator tego stanu.

Uroczyste otwarcie tego kongresu odbyło się w katedrze, gdzie nabożeństwo inauguracyjne odprawił delegat apostolski, a kazanie wygłosił arcybiskup z San Paolo, Mons. Murray. Na kongresie tym zajął się rozpatrzeniem zagadnienia Akcji katolickiej delegat apostolski w przemówieniu „Udział kobiety w Akcji katolickiej”, w którem podkreślił konieczność udzielania pomocy młodzieży przez zakładanie w każdem mieście ognisk Akcji katolickiej, oraz tworzenia parafjalnych kół kultury ludowej. Ostatnie oficjalne przemówienie wygłosił znowu delegat apostolski na temat „Krucjata dla uświęcenia rodziny”.

12 października odbyło się w Chicago doroczne zgromadzenie kobiet katolickich tej diecezji. Przeszło dwa tysiące pań wzięło udział w zebraniu, które zaszczycili swą obecnością kardynał Mundelein, arcybiskup Chicago, delegat apostolski, gubernator stanu, burmistrz stolicy oraz inne wybitne osobistości. Kardynał Mundelein wypowiedział słowa pełne zachęty dla tej młodej organizacji, która zapowiada się wspaniale, a wszystkie następne przemówienia zmierzały do skonsolidowania i zachęcenia do nowego zapału w pracy.

Można było z prawdziwem zadowoleniem patrzeć na te dnie, tak pełne nadziei na przyszłość. Kongresy te zwróciły uwagę katolików na konieczność pomnożenia wysiłków dla urzeczywistnienia chrześcijańskich ideałów, wskazanych przez Ojca św. specjalnie we wzniosłych encyklikach, które stanowiły główną myśl zebrań tych kongresów.

Prasa katolicka postanowiła użyczyć swojej potężnej pomocy w rozszerzaniu głównych myśli, zawartych w przemówieniu delegata apostolskiego, a tyczących się Akcji katolickiej oraz rozpatrujących naturę i środki Akcji katolickiej.

Kardynał Hayes przedstawił listę tematów, poruszanych przez owe encykliki, które mają stanowić przedmiot kazań w różnych parafjach Nowego Yorku na niedziele października; odbitki tej listy zostały rozpowszechnione w całej Ameryce północnej, by mogły stać się przedmiotem studjów organizacyj katolickich.

Te październikowe Dnie katolickie w Ameryce zapowiadają pełny rozwój amerykańskiej Akcji katolickiej, co gwarantuje również wielki zapał, z jakim biskupi uczestniczyli w zebraniach kongresów w San Paolo i w Nowym Yorku.

CZYŚCIEC DOCZESNY ŚW. JANA OD KRZYŻA.

Specjalną łaską od Boga obdarzone dusze, przechodzą już na ziemi tak zwaną przez św. Jana od Krzyża) „Noc zmysłów" czyli „Noc Ciemności", która nie jest niczem innem, jak oczyszczeniem duszy. To oczyszczenie konieczne jest dla każdej duszy, nim dostąpi wiecznego szczęścia oglądania Boga.*

Oświecona łaską Bożą, taka dusza wybrana—mówi św. Jan od Krzyża — zaczyna najpierw poznawać siebie, co jest pierwszym krokiem do poznania Boga, zaczyna rozumieć swą nieskończoną nędzę i wszystkie swoje winy, oraz równocześnie nieskończoną doskonałość Boga. Bóg pociąga duszę ku Sobie, dając jej zarazem poznać jej nikczemność i słabość. Ona cierpi niezmiernie na ten widok i zaczyna podejmować wysiłki nietylko dla odpokutowania wszystkich swoich grzechów i błędów, ale i dla umartwienia wszystkich swoich ziemskich przywiązań, skłonności i upodobań, które przeszkadzają jej w zblizeniu się do najdoskonalszej Istoty Bożej. Wysiłki te, umartwienia i ćwiczenie się w cnotach, stanowią bardzo bolesne, ale zarazem i bardzo zbawienne oczyszczenie dla duszy tu na ziemi. Zaczyna bowiem rozumieć, że taka jaką jest, słaba i nikczemna, nie może wznieść się ku temu, czego, jak powiada prorok: „Oko nie widziało i ucho nie słyszało"... i co stanowi istotę szczęścia wiecznego. Musi więc przejść albo na tamtym świecie, albo już na tym, co jest udziałem tylko nielicznych wybranych, świętych dusz, „Noc Ciemności". Cierpi ona wtedy bardzo z powodu swoich win i niedoskonałości, ale cierpi w Bogu i z Bogiem. Milczenie i samotność dzielą ją od świata. Noc Ciemności opisana tak wspaniale przez św. Jana od Krzyża polega na oczyszczeniu własnej samolubnej natury człowieka i na upodobnieniu się jego do Boga. Nie jest to łatwem dla człowieka i wymaga wielkiego heroizmu. Swiat bowiem i ciało i szatan przeszkadzają w tem oczyszczeniu, a i dusza sama ulega różnym pokusom i słabościom. „O nędzna dolo naszego żywota — woła św. Jan od Krzyża — gdzie się wśród takich żyje niebezpieczeństw i z tak niezmiernym trudem poznaje się prawdę"!

To wszystko co dzieje się z duszą w Nocy zmysłów, osło-

*) *Św. Jan od Krzyża.* Dzieła. tom I—II. Lwów. 1931. Bibljoteka Religijna.

nione jest wielką tajemnicą, tak wzniosłe rzeczy Boże nie dadzą się wyrazić słowem ludzkiem. To tylko jest pewnem, że do oglądania Boga nie można dojść bez wielkiej czystości duchowej, i dlatego wszyscy święci tak bardzo podkreślają potrzebę zdobycia tej czystości. Czystości zaś tej nie można zdobyć bez całkowitego oderwania się od wszelkich stworzeń i rzeczy ziemskich i umartwienia swej woli. Są to drogi niezmiernie trudne do przebycia, ale Bóg sam prowadzi duszę wybraną i dając jej poznać Swą nieskończoną doskonałość, budzi w niej ogromną tęsknotę do Siebie, która wznosi duszę aż do najwyższego heroizmu. Ta tęsknota do oglądania nieskończonego Piękna twarzą w twarz tłumaczy nam to, że dusza chce podejmować największe trudy i wysiłki, by tylko zbliżyć się do Boga.

Św. Jan od Krzyża i św. Teresa doświadczyli wszystkich tych stanów, opisanych w „Nocy Ciemności" tego wielkiego mistyka katolickiego, przeszli ten czyściec sami i dlatego ich dzieła stanowią niewyczerpaną skarbnicę doświadczeń na drogach wiodących do Boga. Drogi te to tylko umartwienie i oczyszczenie duszy z wszelkich wrodzonych popędów, jak gniew i pożądliwość, oraz wszelkich namiętności ziemskich, jak radość, ból, obawa, nadzieja, rozpacz. „Kto przebył na ziemi „Noc Ciemności" — powiada św. Jan od Krzyża — ten już na ziemi stanął w sferze niezniszczalnego bytu". Św. Jan od Krzyża i św. Teresa umiłowali nad wszystko cierpienie, poznali bowiem, że nie można oglądać Boga i Jego Mądrości nieskończonej, bez cierpień. „Wejściem do skarbów i tajemnic Bożych jest tylko Krzyż".

W. K.

Z RZYMU.

Jak donosi dziennik „Osservatore Romano" uczestnicy „Tygodnia sztuki kościelnej" jaki rozpoczął się w Rzymie 15-go października, przyjęci zostali na audiencji przez Ojca św. Ojciec św. wygłosił do około 200 zebranych kapłanów, przemówienie o wzniosłych zadaniach sztuki kościelnej. Sztuka wogóle ma służyć udoskonaleniu życia ludzkiego, sztuka zaś religijna, kościelna, ma jeszcze inne zadanie do spełnienia, musi ona, wobec tego, że stoi w służbie nadprzyrodzonego życia, stać się ogniwem pomiędzy duszami a Bogiem, pomiędzy Kościołem a wiernymi. Wobec tego,

że jej głównym przedmiotem jest „świat nadprzyrodzony“, sztuka religijna jest tem jaśniejszą i piękniejszą, im jaśniej i wspanialej pojmuje się piękność nadprzyrodzonego świata. W dalszym ciągu swego przemówienia zaznaczył Ojciec św., że ze sztuką dzieje się podobnie jak z filozofją. Wielu usiłuje na własną rękę filozofować, tak że można nieraz słusznie powiedzieć: mamy tyle filozofij, ilu jest filozofujących. Pomimo to jednak prawdziwą, niezmienną filozofją jest tylko filozofja zdrowego rozumu ludzkiego. To samo odnosi się do sztuki, zawsze ukaże się wkońcu sztuka prawdziwa, związana z tradycją. Kończąc swoje przemówienie, życzył Ojciec św. uczestnikom Tygodnia studjów jaknajwiększego powodzenia ich obradom i wysiłkom.

W połowie października przeniesione zostało watykańskie obserwatorjum astronomiczne do Castel Gandolfo. W tamtejszym papieskim pałacu oddano osobne sale dla tego celu, przewidywane jest nabycie nowych współczesnych aparatów. Kierownictwo obserwatorjum obejmuje ks. Hagen. Z przeniesienia tego spodziewają się znacznych korzyści, w Castel Gandolfo bowiem nie będzie utrudniać badań astronomicznych zbyt silne oświetlenie miasta Rzymu.

Florentyński związek artystów „Lyceum” rozpisał konkurs międzynarodowy na najlepszy obraz Matki Boskiej. Do wzięcia udziału w konkursie zaproszeni będą malarze, plastycy i graficy. Sąd konkursowy rozpatrywać będzie tylko te dzieła sztuki, które szczególnie podkreślać będą kobiece rysy Matki Boskiej.

TRAGEDJA ANNY BESANT.

Anna Besant umarła. Z śmiercią tą kończy się tragedja osoby, która przez ośmdziesiąt sześć lat swego życia nie przestawała zdumiewać, olśniewać i oburzać całego świata. A ten jej świat nie był bynajmniej nigdy małym, pisze *La Vie Intellectuelle,*—ambicja jej bowiem sięgała w wszechświat, nadzwyczajne zdolności pozwalały jej ogarniać—dla dobra czy zła—szerokie rzesze mężczyzn i kobiet na obydwóch półkulach i wywierać wpływ—zarówno wielki jak posępny—na prądy myślowe całego pokolenia, które również już przemija.

Anna Besant umarła 20 września 1933 roku w Adyar, przedmieściu Madrasu w Indjach, gdzie założyła wspaniałą główną siedzibę Towarzystwa teozoficznego, którego była przewodniczącą od 1907 roku. Urodziła się w 1847 roku z rodziny irlandzkiej w małej wiosce angielskiej, jako córka pp. Wood, którzy jako dobrzy Anglikanie wyznania ewangelickiego dali jej staranne wychowanie, bardzo „burżuazyjne”, jakbyśmy dziś powiedzieli. Gdy doszła do lat dwudziestu wydano ją za mąż za pastora anglikańskiego,

Franciszka Besant. Małżeństwo nie było szczęśliwe i w 1873 roku otrzymała separację, a dwoje dzieci, które namiętnie kochała, oddał sąd pod wyłączną opiekę ojca. Tak skończył się tragicznie pierwszy okres życia Anny Besant. Zakończywszy jednak tę fazę znalazła ona wkrótce nową drogę życia. Zamieszkawszy w Londynie zaczęła studjować zagadnienia społeczne, starając się równocześnie pogłębiać podstawy filozoficzne swego odstępstwa od wiary rodzinnej, które doprowadziło ją do opuszczenia własnego ogniska domowego. W owym czasie poznała kierownika wolnomyślicieli angielskich, Karola Bradlaugh. Tak samo jak Bradlaugh, była Anna Besant wielką despotką i jak on była wielką propagatorką i agitatorką, raczej niż myślicielką. We wspaniałej „Hall od Science” (Hali nauki) atakowali oni „dzieciństwa Mojżesza” w sposób, któryby dziś wydawał się bardzo prostackim i mało naukowym. Dla nich wiara była tylko przesądem i zniszczenie jej zdawało się prowadzić do złotego wieku ludzkości. Bradlaugh wydawał dziennik „Reformator narodowy” a tytuł ten wykazuje dostatecznie zapał z jakim jego redaktor i jego główna współpracowniczka usiłowali zaprowadzić porządek w całym świecie, dążąc do ustalenia panowania Rozumu i Wolności. Jednakże po upływie dziesięciu lat, ścisła ta współpraca doznała ciosu, który miał być śmiertelnym. W 1883 roku Anna Besant spotkała się po raz pierwszy z doktryną socjalistyczną podczas burzliwych strajków, jakie wybuchnęły w owej epoce. W tę walkę uciśnionych z uciskającemi rzuciła się Anna Besant ciałem i duszą, jednakże po raz pierwszy nie razem z Karolem Bradlaugh, ale przeciwko niemu. Od tej chwili każde z nich poszło odrębną drogą. Anna Besant oddała się całkowicie na usługi nowożytnemu angielskiemu ruchowi robotniczemu. Nadzwyczajne swoje zdolności propagatorskie poświęciła agitacji robotniczej, została też wybraną do rady wychowawczej magistratu w Londynie i jako członek partji robotniczej przetrwała na tem stanowisku od 1887 do 1890 roku. Jednakże zerwanie jej z Karolem Bradlaugh było nietylko zerwaniem osobistem, było ono również zerwaniem z racjonalizmem wolnomyślicielskim dawnego jej mistrza. W 1882 roku spotkała Anna Besant po raz pierwszy w Londynie, Helenę Blawatską, „tajemniczą damę” jak ją nazywał złośliwy świat — Niemkę, wdowę po Rosjaninie, obywatelu Stanów Zjednoczonych, która odbyła wielkie podróże po Tybecie i po całym Wschodzie, i która twierdziła, jakoby została tam wtajemniczoną w najgłębsze tajemnice okultyzmu przez wielkich „mahatma” (mistrzów) z lodowców himalajskich, duchowych nauczycieli świata, prawdziwych kierowników naszej planety, znanych jedynie rzeszy ezoterycznych adeptów. Z pewnym Amerykaninem, pułkownikiem H. S. Olcott, p. Blawatski założyła w 1875 roku w Stanach Zjednoczonych Towarzystwo teozoficzne, które miało zdobywać zwolenników i szerzyć ową doktrynę. W 1879 r. obydwoje udali się do Indji, Olcott przychylał się ku buddyzmowi i pragnął udać się do Ceylonu, p. Blawatski jednak wybrała Adyar w Madrasie na stałą urzędową siedzibę towarzystwa, osobiście jednak wolała sama przebywać w Londynie. „Tajemnicza doktryna” rosyjskiej prorokini zdobyła odrazu Annę Besant, choć dopiero po siedmiu latach została ona oficjalnym członkiem Towarzystwa teozoficznego. Kiedy wreszcie w 1889 roku została tym członkiem, zdawała sobie dobrze sprawę, że był to krok nie do pogo-

dzenia z jej dotychczasową działalnością organizatorki syndykalnej i agitatorki politycznej, że to jej jawne nawrócenie na teozofję oznacza koniec jej życia publicznego w Anglji.

Zatem znowu tragicznie kończy się druga faza życia Anny Besant i nie można nie podziwiać bezwzględnej szczerości tej kobiety, która nie wahała się nigdy ponieść raczej jaknajwiększe ofiary niż wybrać hipokryzję. To salto mortale od ateizmu do teozofji ogłuszyło rzecz prosta jej zwolenników: jednakże w ich postawie względem Boga obiedwie te doktryny filozoficzne nie odróżniały się wyraźnie. Obydwie są bowiem egocentryczne a nie teocentryczne i zarówno jedna jak i druga twierdzą, że człowiek może własnemi siłami kierować swoim losem i uzyskać wpływ nad swojem środowiskiem. Pycha duchowa — lucyferyczna, jak przyznała sama Anna Besant — stanowi podwalinę obydwóch ideologij, które pozornie zdają się tak bardzo różnić pomiędzy sobą i gdy Anna Besant uświadomiła sobie raz istnienie sił duchowych, nic dziwnego, że porzuciła „wolną“ myśl Bradlaugh, której ograniczoność poznała, dla nowego kultu prorokini okultystycznej, która schlebiała jej pysze, stawiając ją ponad pospolitym tłumem wśród małego kółka wybranych wtajemniczonych i ukazując jej nową rolę wielkiej kapłanki, pozostającej w ścisłym związku z wielkimi „mahatma“, kierownikami całego świata ziemskiego, panującej nawet nad sferami niebieskiemi. Istota jako Bóg...

Anna Besant została członkiem towarzystwa teozoficznego w 1889 roku, a w dwa lata później umarł zarówno jej dawny jak i nowy mistrz. Zostawszy samą, podążyła w 1893 roku do Indyj, by tam rozpocząć — w czterdziestym szóstym roku życia — nowe życie. Wpływ jej nie omieszkał się istotnie odrazu tam przejawić. Z jej inicjatywy teozofja p. Blawatski przemieniła się szybko w neo-hinduizm. W Indjach nauczała ona bez wahania nauki Kriszny i Bhagavad-Gity; nie atakując bynajmniej nadużyć i błędów hinduizmu, stawała w ich obronie i wyjaśniała je w sposób ezoteryczny. Okazywała wielkie przywiązanie dla narodowej religji Indyj, i przystosowała do niej cały swój sposób życia i działania. To pozorne nawrócenie angielskiej damy na religję hinduską i przyjęcie przez nią tradycyjnych zwyczajów Hindusów, wzbudziło naturalnie wielkie wzruszenie wśród ludności indyjskiej. Jednakowoż nie zdobyła sobie wielu zwolenników dla swojej teozofji. Bardzo ograniczona tylko liczba Hindusów została członkami towarzystwa, jednakże ci, którzy nimi zostali, odznaczali się ślepem prawie przywiązaniem osobistem dla wielkiej białej prorokini.

Stworzyła ona „centralną szkołę hinduską“ dla wykształcenia nowych hinduskich szermierzy intelektualnych. Z niezłomną energją, jaka zawsze ją charakteryzowała, Anna Besant oddała się temu dziełu i istniejący obecnie w Indjach wielki uniwersytet w Benares, oficjalnie hinduski, zawdzięcza swoje istnienie Annie Besant, która przygotowała jego plany i stworzyła jego podstawy. Otwarcie jednakże tego wielkiego dzieła w 1915 roku nie dokonało się pod patronatem Anny Besant. Zostawszy po śmierci pułkownika Olcotta, w 1907 roku, prezeską towarzystwa teozoficznego, musiała Anna Besant zająć się nietylko Indjami, ale i Europą. Podczas swego pobytu w Londynie, organizując cały szereg konferencyj o „odkryciach“ ko-

smologicznych, psychologicznych i historycznych teozofji, zdołała zapełniać corocznie jedną z największych sal stolicy Queen's Hall. Nie brakło jej ani uczniów, ani pieniędzy. Plany jej stawały się coraz wspanialsze. Wspaniałe urządzenia ognisk towarzystwa, wielka propaganda literacka, światowe podróże, powtarzały się stale. Adyar, centrum towarzystwa, i jego sanctum sanctorum, jaśniało przepychem. Każda religja miała tam swoją świątynię: Islam, Buddyzm, Hinduizm, religja Zoroastra — nawet „liberalny biskup katolicki", wyświęcony przez Annę Besant, musiał odprawiać „mszę" w własnym kościele. I ona, Anna Besant, była najwyższą kierowniczką tego wszystkiego, stojąc ponad wszystkiemi religjami (potrzebnemi dla tłumów!) i pozostając w bezpośrednim związku z tajemniczymi „Mistrzami świata". Aż pewnego pięknego dnia zaczęto szeptać w jej otoczeniu, że przygotowuje się jeszcze coś zupełnie nowego, coś olbrzymiego, a mianowicie, że pojawi się nowy Mesjasz, który zlikwiduje wszystkie religje i zaprowadzi nowy wiek złoty...

Zakon „Gwiazdy na wschodzie" założony został dla przygotowania przyjścia tego nowego Mesjasza i wkrótce liczył już tysiące zwolenników na obydwóch półkulach. Członkom zwierzono wielką tajemnicę, a mianowicie, że pojawienie się Mesjasza jest już faktem dokonanym, że przybrał on postać młodego Hindusa, urodzonego w kaście brahmanów w Madras, ale adoptowanego przez Annę Besant, i noszącego nazwę: Krisznamurti.

W Indjach fantazja ta nie przyjęła się zupełnie, przeciwnie, ojciec Krisznamurtiego, oburzony, wytoczył proces Annie Besant o oddanie syna, i jego starszego brata, proces, który toczył się przed sądami w Madras przez dwa lata. Wreszcie sąd odnalazł dokumenty, odnoszące się do adoptacji i odmówił ojcu prawa odebrania swoich dzieci, jednakże hinduizm prawowierny, dotąd przyjazny Annie Besant, obrócił się od tej chwili przeciwko niej.

Stanowisko Anny Besant — atakowane równocześnie w Indjach i Europie, — groziło zupełnym upadkiem. Z wielką zręcznością usiłowała odeprzeć atak nową gwałtowną ofenzywą: w 1913 roku rzuciła się w wir życia politycznego Indyj, i ogłosiła się za szermierza wyzwolenia narodowego. Przyłączyła się do stronnictwa umiarkowanych, jednakże ten krok, zdradzający jej dobry zmysł polityczny, opłaciła utratą swojej popularności. W owej epoce Gandhi zyskał tak wielką sławę, że już nie było obok niego miejsca dla nikogo poza jego uczniami, i jak wiadomo cały naród hinduski ogłosił go za swego „mahatmę". Była to druzgocąca — klęska.

W międzyczasie stopniowo urzeczywistniał się plan rządu angielskiego, dzięki współpracy umiarkowanych Hindusów i Anna Besant użyła całego swego wpływu na dawnych przyjaciół w angielskiej partji pracy, by uczynić jaknajliberalniejszą i jaknajlepszą nową ewolucję polityczną Indyj. W 1925 roku zdołała ona wprowadzić do izby gmin projekt prawa, dla którego podejmowała w Indjach przez dwa lata wielkie wysiłki, nie zdoławszy jednak pozyskać kongresu narodowego dla swego projektu. Jednakże w 1929 r. partja pracy doszła do władzy w Anglji i utworzyła gabinet: Anna Besant doczekała się wreszcie chwili triumfu. Nowy rząd angielski zwołał zaraz „Konferencję okrągłego stołu", by delegaci hinduscy i angielscy przyjęli

nową konstytucję hinduską: niestety wśród delegatów nie było jej nazwiska. Długo nie mogła w to uwierzyć, kiedy jednakże wreszcie zrozumiała, że nie została zaproszoną nawet przez swoich przyjaciół — ona, wielka wtajemniczona i kierowniczka wszechświatowa — umysł jej załamał się i popadła w ogłupienie, które trwało już do jej śmierci.

Należy dodać, że nietylko ten jeden cios zdruzgotał osiemdziesięcioletnią staruszkę. W towarzystwie teozoficznem sprawy szły jaknajgorzej. Misja Krisznamurtiego natrafiła na niespodziewaną przeszkodę w osobie samego mniemanego Mesjasza. Jego starszy brat, który wraz z nim został wysłany do Oksfordu, umarł tam i ta śmieć wywarła głębokie wrażenie na Krisznamurtim. Od tej chwili odmówił on dalszego odgrywania roli, narzuconej mu przez jego przybraną matkę i coraz głośniej i wyraźniej zaczął głosić, najpierw swoim zwolennikom, a potem „urbi et orbi" że nie był on żadnym Mesjaszem, że uważa religję za sprawę czysto osobistą i że nienawidzi wszelkiego organizowania towarzystw religijnych. Ostateczny cios przyszedł w 1929 roku, gdy Krisznamurti, dla którego założono zakon „Gwiazdy Wschodu" i którego był głównym kierownikiem, rozwiązał go oficjalnie i nieodwołalnie.

Całe dzieło Anny Besant zostawało zmiażdżone. Jakże okrutną okazała się dla niej Nemezis, która spowodowała, że cios ten zadany został przez tego, przed którym chyliła się ona jako przed przyszłym mistrzem. Fenomenalna energja, jaką posiadała ta kobieta, wszędzie i zawsze spotykała się z klęską: i w chwili gdy jej wysiłki zdawały się już odnosić triumf, rozwiewało się wszystko. Dwa razy cofała się i rozpoczynała: jednakże trzecia jej tragedja była już ostateczną. Oszukana i zawiedziona we wszystkich dążeniach i ambicjach, z tego i tamtego świata, ona, której ambicja chciała dorównać Lucyferowi, zakończyła życie, zdruzgotana przez prawdę, w zupełnej tępocie umysłowej.

Oby Bóg w nieskończonem swem miłosierdziu zlitował się nad jej duszą!

Z FRANCJI.

W uzupełnieniu naszego sprawozdania z Kongresu *Dobrej Prasy* zamieszczonego w numerze 21 „Wiad. Kat.", podajemy jeszcze następujące szczegóły, za „Schönere Zukunft", o rozwoju tego pięknego dzieła. W połowie października odbył się doroczny Dzień wydawnictw „Dobrej Prasy". Dzień ten obchodził równocześnie podwójny jubileusz: pierwszego ukazania się tygodnika katolickiego *Le Pèlerin* („Pielgrzym") przed 60-ciu laty, oraz 50-letnią rocznicę istnienia paryskiego katolickiego dziennika *La Croix* (Krzyż). Z tej okazji wydało przedsiębiorstwo „Dobrej Prasy" zajmujące świąteczne pismo, które stanowi cenny przyczynek do historji katolickiego dziennikarstwa we Francji. Bardzo zajmującym i pouczającym jest

szkic rozwoju tygodnika *Le Pèlerin*, który po raz pierwszy ukazał się dnia 12 lipca 1873 roku. Tygodnik ten, będąc bardzo popularnym, zyskał wielkie powodzenie wśród ludności wiejskiej. Rzecz prosta, że masonerja nie omieszkała pismo to ośmieszać i utrudniać mu istnienie. Pomimo to jednak tygodnik ten już od początku 1877 roku mógł powiększyć swój nakład i dodać część ilustracyjną i dodatek powieściowy. Doniosłym był fakt, że Don Bosco odniósł się ze specjalną życzliwością do ówczesnego redaktora „Pielgrzyma", ks. Picard, i poparł wydatnie jego wysiłki. 1 lipca 1883 roku odbyła się owa pamiętna konferencja prasowa, na której postanowiono wydawać dziennik *La Croix*. Przedsięwzięcie to zdawało się na razie zbyt śmiałe, ale już po 14 dniach przejawia się jego wielka siła żywotna; bardzo szybko zdobywa to nowe czasopismo 5.000 abonentów. Pięć lat później powstaje już kilka dalszych wydawnictw; liczba prenumeratorów *La Croix* dosięga 16.000, *Le Pèlerin* 196.000, a liczba prenumeratorów połączonych z niemi pism niedzielnych podnosi się najpierw do 10.000 a potem do 15.000. Obecnie „Dom dobrej prasy" przy ulicy Bayard w Paryżu stanowi jedno z najwybitniejszych i największych przedsiębiorstw prasowych Francji, wytrzymujących doskonale współzawodnictwo z liberalną prasą. W początku 1933 roku utworzyła „Dobra prasa" przeszło 35.000 komitetów propagandowych, liczba zaś jej wydawnictw tygodniowych wynosi około 2,800.000.

NOWE UZDROWIENIE W LOURDES

Wśród cudownych uzdrowień, oficjalnie zatwierdzonych w Lourdes w czasie pielgrzymek ostatniego lata, dziennik „Journal de la Grotte de Lourdes" podaje sprawozdanie urzędowe z uzdrowienia pani Marji Grassi, dokonanego w 1929 roku i zatwierdzonego po czterech latach badań.

Historję choroby podaje świadectwo lekarza Alfreda Clément z Marsylji. Świadectwo to brzmi następująco:

„Ja podpisany, stwierdzam, że leczyłem od czterech lat panią Marję Grassi, liczącą lat 46, zamieszkałą w Marsylji, na wrzód w dwunastnicy. Osobę tę leczył poprzednio doktór Piotr Clément, po którym ja objąłem leczenie.

Co się tyczy zdrowia członków rodziny chorej, ojciec jej umarł na cholerę, matka na zapalenie płuc. Rodzeństwo jej pozostaje w dobrem zdrowiu. Choroba Marji Grassi rozpoczęła się w 1915 roku. Chora zajęta była w domu, gdy nagle uczuła gwałtowny ból w okolicy żołądka, rozchodzący się aż do ramion, kłucie i kurcze, wymioty... Bóle te nie ustawały, tak, że chora musiała położyć się do łóżka i nie mogła opuścić domu przez 10 miesięcy. Mogła żywić się tylko mlekiem i lekkiemi zupami, wymioty powtarzały się często i następowało szybkie chudnięcie. Chora leczyła się jodem i otrzymywała uspakajające zastrzyki. Badanie krwi dało wyniki ne-

gatywne, chora leczyła się również arszenikiem, jednakże bezskutecznie. Bóle trwały ciągle, jak również i wymioty, a odżywianie było bardzo utrudnione. Chora zajmowała się małemi pracami w domu. W kwietniu 1927 roku prześwietlanie wykazało wrzód w okolicy żołądka. Pierwszego zabiegu chirurgicznego dokonał 12 lipca 1927 roku doktór Vernejoul w szpitalu św. Józefa. Operacja ta nie dała jednakże pożądanego wyniku. Stan chorej nie zmienił się. Drugi zabieg chirurgiczny odbył się 29 listopada 1927 roku, ale również nie przyniósł żadnego polepszenia. Bóle stawały się coraz większe. Chora mogła przełykać tylko małe ilości mleka, które często oddawała. Żadne lekarstwo nie pomagało. W maju 1928 roku nowe prześwietlanie wykazało powiększenie się wrzodu. Chirurg odmówił podjęcia się ponownej operacji. Chora cierpiała stale bez ulgi, podtrzymywana zastrzykami i zmuszona do częstego przebywania w łóżku. Ten stan trwał aż do jej odjazdu do Lourdes w sierpniu 1929 roku. Po jej przybyciu do Lourdes bóle trwały w dalszym ciągu. Chora nie mogła przyjmować żadnego pożywienia i odjechała w tym samym stanie".

Prześwietlanie z dnia 12 maja 1927 roku, dokonane przez doktora Jana Clément, stwierdza nadwyrężenia organiczne w okolicy żołądka i dwunastnicy, oraz istnienie tam wrzodu. Drugie prześwietlanie, dokonane w szpitalu św. Józefa 14 maja 1928 roku, wykazało zwiększenie wrzodu. Doktór Vernejoul w następujący sposób stwierdza swoje leczenie: „Ja podpisany, R. de Vernejoul, chirurg szpitalny, stwierdzam, że operowałem panią Grassi 13 lipca i 30 listopada 1927 roku i stwierdziłem po raz pierwszy nieżyt żołądkowo-jelitowy z powodu wrzodu w okolicy żołądka i dwunastnicy, a za drugim razem zniknięcie wrzodu".

W 1929 roku chora zaczyna się znowu skarżyć na bardzo gwałtowne ponowne bóle, badanie wykazuje istnienie wrzodu wymagające ponownej operacji. Nagle w sierpniu tegoż roku nie poddawszy się żadnej operacji, pani Grassi oświadcza, że jest całkowicie uzdrowioną. Nie doznaje ona od tego czasu żadnych bólów, nie odbywa żadnej kuracji i wyzdrowienie jej utrzymuje się stale od tej chwili.

Chora, jak już zaznaczyliśmy, wyjechała z Lourdes w tym samym stanie zdrowia, w jakim przyjechała. Leczący ją lekarz w następujący sposób przedstawia jej uzdrowienie:

„W pociągu z powodu omdleń musiano robić jej zastrzyki kamforowe. Po przybyciu do Marsylji chora udaje się do domu, przygotowuje obiad dla swej rodziny i spożywa go jak osoba zdrowa... Od tej chwili już nie doznaje bólów, może się schylać swobodnie, sypia normalnie. Badanie nie wykazało nic nienormalnego w okolicy żołądka. Dotknięcie brzucha nie powoduje żadnych bólów. Chora już nie cierpi i jada normalnie, przybyło jej ośm kilo. Ponowne prześwietlanie w październiku nie wykazało żadnego uszkodzenia organicznego". Świadectwo z prześwietlania stwierdza tylko pewne ślady po wrzodzie, stwierdzonym przez prześwietlanie w roku 1927, a które obecnie są całkowicie zabliźnione.

Pani Grassi przedstawiła się w biurze sprawdzań w 1931 roku, dwa lata po uzdrowieniu. Przywiozła ona z sobą nowe świadectwo doktora Clément z dnia 3-go sierpnia tegoż roku, które brzmi w następujący sposób:

„Od dwóch lat widuję stale panią Grassi w laboratorjum w którem pracuje, stan jej zdrowia jest doskonały, przybyło jej 14 kilo, pracuje normalnie bez żadnego zmęczenia, je wszystko, nie odbywa żadnej kuracji, ani nie zażywa żadnych lekarstw od 1929 roku. Osobę tę można uważać za całkowicie uzdrowioną od sierpnia 1929 roku Rozchodzi się tu o chorą, dotkniętą wrzodem żołądkowo-jelitowym, i dwa razy operowaną bez żadnego rezultatu. Chora została uzdrowioną nagle po swoim powrocie z Lourdes w czasie podróży i od tej chwili nie odczuła żadnych oznak chorobowych. Z punktu widzenia lekarskiego nie można wyjaśnić tak nagłego uzdrowienia".

Lekarze w Lourdes, zbadawszy panią Grassi oraz skontrolowawszy wszystkie świadectwa odnoszące się do jej choroby, uznali, że chora została w dniu 25 sierpnia 1929 roku uzdrowioną z powtórnego wrzodu w żołądku i że ubiegłe cztery lata zdrowia potwierdzają całkowicie to uzdrowienie, jako bezwzględne i ostateczne, oraz, że nagłe zniknięcie wszelkich oznak choroby, natychmiastowa możność spożywania zwykłych potraw, bez żadnej przejściowej djety, i bez używania jakichkolwiek lekarstw, wykluczająca w ten sposób wszelką rekonwalescencję, załączają to uzdrowienie do uzdrowień, pozostających poza sferą zwykłych praw natury.

WIARA I NAUKA.

RELIKWJA ŚWIĘTEGO CAŁUNU *).

W obecnym nadzwyczajnym Roku jubileuszowym, czczącym boski i krwawy dramat Odkupienia, wśród rozlicznych relikwij Męki Chrystusa, któremi szczycą się różne miasta i świątynie, jaśnieje wielkością i czcigodnością Całun święty z Turynu, przecenny skarb sabaudzkiej rodziny królewskiej. Obecnie gdy wystawiony został ku czci wiernych i pielgrzymów całego świata, otoczyło go światło prawdy, któremu przeczyły niejednokrotnie ubiegłe wieki, a które od ostatniego wystawienia go w 1898 roku coraz żywszym zaczęło świecić blaskiem, w miarę coraz liczniejszych badań krytyków i artystów, usiłujących odcyfrować cudowną zagadkę. Odnośnie do tej relikwji nie brakło nigdy Tomaszów, którzy wątpili o jej autentyczności.

Sztuka, natura czy cud? Przed świętym Całunem milknie sztuka, żadna szkoła starożytna lub średniowieczna nie nauczała nigdy rysować i malować naodwrót, ani cieniować wbrew naturze, tak by światła były ciemnemi, zaś cienie jasnemi. Wcisnęła się tu natura, córka Boga i użyła pendzla nieznanego malarzom greckim, rzymskim i włoskim. Czy ten Całun śmiertelny

*) Por. „Wiadom. Kat." nr. 5 z r. 1930 i nr. 11 z r. 1931.

odsłaniający przed nami swe tajemnice, ślady krwi i potu śmiertelnego Odkupiciela jest cudem Boga czy natury, czy też jednem i drugiem? Dzięki odkryciom chemicznym i optycznym, oglądamy w świętem zdumieniu Twarz Chrystusa, jaką była po zdjęciu z krzyża, na zdjęciach świętego Całunu, dokonanych w obecnym roku. Przed tym świętym obrazem Chrystusa pochylamy się wszyscy, wraz z kardynałem Fossati, arcybiskupem Turynu, który ujrzawszy pierwsze zdjęcie świętego Oblicza, przedstawione mu przez p. Enrie, któremu to dzieło powierzono, upadł głęboko wzruszony na kolana i zawołał ze łzami: „Jakąż pociechę wyświadczył mi Pan“!

Opis świętego Całunu dokonany przez p. Enrie, na podstawie jego zdjęć, jest dokumentem historycznym nietyle ze względu na pracę autora, ale naturę i stan tej najświętszej i najcudowniejszej relikwji, jaką posiadamy z Męki Chrystusa. Opis ten potwierdza wszystko co przedstawiła fotografja z 1898 roku, dodając cały szereg obserwacyj, szczegółów technicznych, malarskich i chemicznych, których celem jest wykazanie słabych podstaw, zarzutów i wątpliwości, pochodzących z braku i niedostateczności odpowiednich dokumentów historycznych starożytnych, oraz ze słabej znajomości nowożytnych procesów fotograficznych.

Śmiertelny ten Całun, który przetrwał długie wieki i zachował ślady zetknięcia z Ciałem Chrystusa, jest tkaną sztuką płótna, długości 4.36 i szerokości 1.10 metra; jest ono w kilku miejscach zgięte i uszkodzone przez dwa pożary, oraz ma plamy od wody, jaką je oblano, zachowało jednakże wyraźne ślady ciała Chrystusa o barwie szarej i rdzawej. Na oglądających je święte to płótno sprawia wielkie wrażenie. Bardzo rzadko była ta święta relikwja okazywaną wiernym, co też uniemożliwiało wszelkie bliższe jej zbadanie i świadczyło o tem, jakoby chciano nie dopuścić do niej ostrza krytyki. Dopiero teraz, po ostatnich wystawieniach, fotografja, która, jak powiada Enrie, „ma bystrzejsze spojrzenie niż oczy ludzkie“ umożliwiła wszystkim dokładne oglądanie świętego Całunu. Doświadczony ten i uczony mistrz, rozporządzający najnowszemi narzędziami w tej dziedzinie, przedstawił 12 fotografij, ukazujących święty Całun w całości i w najściślejszych i najdonioślejszych szczegółach. Fotografje te, jakkolwiek nie różnią się zbytnio pod względem technicznym od zwykłych fotografij, ze względu na przedmiot do jakiego się odnoszą, są cennym dokumentem historyczno-religijnym, podając bowiem jaknajściślejszą reprodukcję relikwji, stanowią zarazem najpoważniejszy dowód jej autentyczności. Fotograf spodziewał się, że otrzyma. według normalnego procesu fotograficznego, na kliszy obraz negatywny, jak to zwykle bywa przy fotografowaniu portretów, tymczasem pokazał się niespodziewanie pozytywny obraz Oblicza i Ciała Zbawiciela, negatywnie zaś wyszły rany i plamy krwi. Opowiada nam artysta wywołujący pierwsze klisze, z jakiem zdumieniem i wzruszeniem zobaczył nagle nigdy nie oglądane, pełne pokoju i Majestatu Oblicze Chrystusowe i z jakim trudem wzruszenie to opanował, by dokończyć drżącemi rękami pracę i utrwalić obraz.

Piękności, wzniosłości i majestatowi wizerunku Oblicza Chrystusowego, jaką ukazuje święty Całun, nie dorównuje żaden obraz, ani Michała Anioła, ani Rafaela. Żaden bowiem malarz nie zdołał odmalować wyrazu

Oblicza, które w śnie śmierci jakby przeczuwa dzień Zmartwychwstania. Oblicze nie jest uszkodzone biczowaniem kohorty Piłata, jakkolwiek nosi ślady uderzeń sług arcykapłanów, krew, wypływająca z głowy ukoronowanej cierniem, zaledwie kilku małemi plamami czerwieni czoło. Zdaje się jakoby Odkupiciel, chciał po śmierci ukazać się pięknym tym, którzy Go miłowali i pragnęli Go naśladować i pozostawiając w ukryciu swój wizerunek, zachował go dla kontemplacji dni naszych, gdy z tak wielką miłością i wdzięcznością w tym nadzwyczajnym Świętym Roku cały świat wspomina szczególnie Mękę Odkupienia.

Jakież jest nadzwyczajne pochodzenie wizerunku Chrystusa przedstawionego na świętym Całunie? Choć nie jest to tylko płótno malowane, nie można jednak mówić o cudzie, wznoszącym się ponad naturę, któryby przypisać należało całkowicie działaniu Bożemu, ale powiadamy, że jest cudem natury, działającej według sposobów swojej sztuki. Prof. Paweł Vignon z Paryża w swojem dziele „Całun Chrystusa” napisanem w 1902 roku, wykluczając możliwość by to było malarskie dzieło ludzkie, podaje, że cienie znajdujące się na świętem płótnie wytworzyły się przez działanie pierwiastków zawartych w pocie śmiertelnym, jakim podczas Męki pokryte było ciało Chrystusa, przypisując w ten sposób siłom chemicznym wytworzenie obrazu. Jednakże nie wszyscy uczeni zgadzają się na hipotezę profesora paryskiego, wypowiadając różne zdania w tej kwestji. Zagadnienie to domaga się jeszcze bliższego zbadania i rozwiązania.

W swej pięknej i naukowej książce słusznie powiada Enrie, że bez sztuki i kultury fotograficznej nie możnaby ocenić dostatecznie i zrozumieć nieocenionej wartości świętego Całunu, jaki ona odsłoniła. Fotografja bowiem swemi środkami technicznemi i naukowemi, jako służebnica natury, podniosła zasłonę zagadki i autentyczności, by nam przedstawić cudowne Oblicze Chrystusa i Jego umęczone ciało, to, które oglądali bluźniercy Judei i żołnierze rzymscy, i które ukrywały trzy dni ciemności pełnego chwały grobowca.

O trzecim świcie, świcie wieków, powstał z grobu Zbawiciel świata do życia triumfującego nad śmiercią i piekłem i pozostaje na świętem płótnie, kupionem przez Józefa z Arymatei. Kto je zabrał? Kto podawał je z rąk do rąk przez wieki, aż do naszych czasów? Jeśli historja milczy, nie milczy natura, przemawia do nas i wyzywa do przemówienia sztukę i krytykę nowożytną, stwierdzając po dziewiętnastu wiekach, autentyczność odbitki ciała Chrystusa na świętym Całunie.

wedł. *Civiltà Cattolica.*